

Piotr Zaczek

Tragiczna noc

Tłumaczyła z francuskiego: Marya Segony.

25

Co zaś do barona de Compans, ten nie widząc Franka ani córki, sądził, że schronili się razem do jakiego przyległego gabinetu, żądni rozmowy bez świadków. Uśmiechał się nawet, czyniąc to przypuszczenie i myśląc, że opór Sylwii nie trwał zbyt długo, zwyciężony jego wolą i przymiotami rzeczywistymi narzeczonego, którego jej wybrał.

Zabawa miała się przeciągnąć do samego rana i zdawało się, że ta noc przeciągała się rozmyślnie, tyle bez troski i upożenia malowało się na wszystkich twarzach.

Właśnie w tej chwili w głównym salonie pary stawały do nowego kadryla. W kadrylu tym miała tańczyć panna de Compans.

Wszyscy już zajęli swoje miejsca, czekano tylko na Sylwii i po raz pierwszy teraz dopiero zauważono ogólnie, że opuściła zabawę.

Ten fakt zresztą nie miał w sobie nic niepokojącego. Sądono, że jakieś obowiązki domowe zmusiły córkę gospodarza do oddalenia się na krótko.

Wiadomość jednak o nieobecności Sylwii dziwne uczyniła wrażenie na panu de Compans. Nie zdając sobie jeszcze dłaczego, uczył dziwny niepokój i ściśnięcie serca. Gdzież ona być mogła?

Co się jej przytrafić mogło? Dlaczego nie znajdowała się w salonie, kiedy wiedziała przecież, że na nią zebrani goście czekać będą?

Na widok Franka, wchodzącego do salonu, westchnienie ulgi wybiegło z piersi bankiera. On musiał wiedzieć, gdzie się znajduje jego narieczona.

Bankier żywo podszedł do niego.

— Gdzie Sylwia? — zapytał cichym głosem, aby nie być dosłyszczanym przez osoby otaczające go.

— Nie widziałem już od chwili panny de Compans — brzmiała spokojna odpowiedź Franka.

Lekka bladeść pokryła twarz bankiera. Zmieszanie jego spotęgowało się jeszcze, kiedy pośłyszał szepty coraz głośniejsze, rozlegające się wokoło. Orkiestra na czyjś znak dany grać przestała. Wszyscy spoglądali na siebie z rosnącym zdziwieniem, nie wiedząc, jak sobie wytłumaczyć ten fakt niezwykle. Pan de Compans zrozumiał nagle, że należało przerwać to ciągłe milczenie i nie dopuścić do jakichś uwag uszczypliwych i niechętnych. Podszedł więc do muzyki, która natychmiast zagrała pierwsze taktę przerwanej kadryla i sam skierował się do drzwi.

Ale zaledwie uszedł kilka kroków, kiedy cofnął się błdy, z okropnym okrzykiem przerażenia.

Na progu salonu stał Lopez, a za nim Paskal, z twarzą zmienioną, błędnym spojrzeniem. Duże krople potu błyszczały na jego czole.

Na krzyk pana de Compans i na widok przybyłych, ogólny ruch uczynił się na sali. Wszyscy ogarnięci ciekawością i zdumieniem cisnęli się do pana de Compans, zapominając zupełnie o zabawie i tańcach.

Bankier już dalej ludzić się nie mógł. Ohydna, straszna prawda występowała teraz przed nim, przejmując go zgrozą i śmiertelnym lękiem. On już rozumiał, czemu przypisać miał nagle zjawienie się Lopeza w jego salonie. Lopez przychodził jako mściciel, wiedział o wszystkim i chciał go nieodwołalnie zgubić.

W tej ostatecznej, strasznej chwili, nieszczęsny zbrodniarz nie pomyślał jednak o sobie, tylko o swojej córce, kochanej nad wszystko.

— Sylwio! Sylwio! — zawołał oszalały. — Coście z nią uczynili, odpowiedz pan! Gdzie ona jest?

— Panna de Compans odjechała przed kwadransiem z panem Oktawiuszem Gaudin — odparł Lopez, mierzając zimnym spojrzeniem bankiera.

— Ach! Kłamie pan! To niemożliwe!

— Może się pan o tem przekonać w każdej chwili. Nie mam potrzeby oszukiwać pana.

Pan de Compans oprzytomniał na chwilę zebrał trochę odwagi.

— A czegoż pan chce tutaj? — zapytał silnym głosem, chcąc onieśmielić nieprzyjaciela. —

Jakiem prawem przychodzisz pan tutaj nieproszony i rzucasz zamieszanie pomiędzy moimi gośćmi!

Zaraz się pan o tem dowie — odparł Lopez i zwrócił się do Paskala, stojącego w milczeniu za nim.

Paskalu! — wyrzekł donośnym, nakazującym głosem, dotykając ręką jego ramienia. — Oto pan de Compans, twój współnik.

Wspólnik! — próbował bronić się bankier, patrząc przerażonymi oczami na służącego.

Oto twój współnik! — powtórzył Lopez jeszcze donośniej. — Mów teraz opowiedz wszystkim tu zebranym o okropnej zbrodni, popełnionej tutaj, w tem miejscu, lat temu piętnaście, na osobie hrabiego de Rieux.

Zbrodnia?! — zawołali z oburzeniem wszyscy obecni.

Tak zbrodnia! — poświadczył Lopez stanowczym głosem spoglądając spokojnym wzrokiem wokoło.

Pan de Compans bezsilny, ubezwładniony opadł ciężko na krzesło, kryjąc twarz w dłoniach. Czuł dobrze, że teraz próżną będzie jego obrona. Nie starał się nawet zadać kłam słowom człowieka, który tu przybył z nieodwołalnym zamiarem zgubienia go na zawsze.

Pomiędzy zaproszonymi gośćmi znajdował się człowiek średniego wzrostu, o oczach inteligentnych i żywych, surowej, wygolonej twarzy, odbijającej się jasną plamą od czarnego ubrania.

Usłyszawszy słowo „zbrodnia“, człowiek ten drgnął, podniósł głowę i wpatrzył się uważnie w Lopeza i Paskala, poczem wzrok jego błyszczał i badawczy spoczął uporczywie na panu de Compans.

Paskal tymczasem postąpił parę kroków automatycznym, sztywnym ruchem i patrząc przed siebie błędnie, oczekiwał na dalsze zapytania.

— Czy poznajesz ten salon? — zapytał Lopez.

— Tak — odpowiedział służący.

— Czy tu znajdował się zamordowany starzec? Przypomnij sobie dobrze.

— Nie, nie tam.

Ruchem ręki wskazywał niewielki salonik przyległy, do którego sam teraz przemocą pociągnął Lopeza.

— A więc w tym pokoju znajdował się starzec? — nalegał ten ostatni.

— Tak — odpowiedział z trudem Paskal przerażonym głosem.

— I ty byłeś przy nim?

— Tak.

— I podczas kiedy on dogorywał, przywołując nieobecnych swoich synów — ciągnął dalej stanowczo Lopez — siostrzeńcy jego oczekiwali niecierpliwie na jego śmierć, rozmawiając o majątku, jaki po nim mieli odziedziczyć.

Paskal uczynił giest potakujący.

— Ale co się stało potem? — W jaki sposób zamordowano syna, który podążył tutaj, aby odebrać błogosławieństwo umierającego ojca? Jak się to stało, że mordercy nie obudzili jego czujności i podejrzeń?

Paskal przesunął ręką po czole, na którym perlły się krople potu i głębokie westchnienie wybiegło z jego piersi.

— Och! — szepnął, drżąc całym ciałem — dzwonek... dzwonek...

— Zadzwoniono do bramy ogrodowej, czy tak? Zadzwoniono niespodziewanie?

— Tak.

— I siostrzeńcy hrabiego domyślili się powrotu syna?

— Tak.

— Postanowili zamordować syna, aby wejść w posiadanie sukcesji? Jakiej użyli broni?

— Tam, w pokoju... wisiały sztylety...

— Uzbrowili się w nie?

— I zaczęli za drzwiami — kończył Paskal — baczni na każdy szelest.

— A ty?

— Ja, na ich rozkaz, poszedłem otworzyć furtkę... Miałem wprowadzić go do mieszkania...

W salonie zaległo ciężkie milczenie. Wszyscy słuchali z namiętną uwagą zwierzeń służącego, wzruszeni, zdumieni, zapytując się w duchu, czy ta straszna opowieść mogła być prawdą.

Mężczyzna o bystrych, żywych oczach z szczególniejszym zainteresowaniem śledził całą tę scenę. Od czasu do czasu w spojrzeniu jego przebiegał się błysk nagły, a usta drgały nerwowym zniecierpliwieniem.

Co zaś do pana de Compans, ten był zupełnie oszołomiony. Czuł zawrót głowy, myśląc o ostateczności. Jaka go teraz czeka i przed którą nie widział już żadnej obrony. Przytem beznadziejna rozpacz go ogarnęła na wiadomość, że jedyna, ukochana jego córka opuściła go, gotując sobie przyszłość bez wyjścia. Bo czy Oktawiusz Gaudin dotrzyma swoich zobowiązań względem niej, kiedy się dowie, że jest córką mordercy i zrujnowanego człowieka?

Raz jeszcze, pomimo niemocy ogarniającej go coraz więcej, ostatnim wysiłkiem energii i odwagi rzucił na Lopeza błyszczące spojrzenie. Chciał coś mówić, oponować, może bronić się, ale słowa nie mogły wybieść z zaciśniętego, wysuszonego gardła. Po dłuższej chwili dopiero wyszeptał z trudem:

— Ale któż pan jesteś? Ktoż pan jesteś właściwie? — i patrzył przerażonym, obłąkanym prawie wzrokiem na przeciwnika.

Lopez nawet nie raczył zwrócić uwagi na te słowa. Przycisnął jeszcze ręką ramię służącego i wpatrzył się w niego surowym spojrzeniem.

— Paskalu! — rzekł — mów dalej, słyszysz? Opowiedz nam, jak się to wszystko stało.

Konwulsyjny dreszcz wstrząsnął ciałem nędznika. Widać było z całej jego postawy, że stracił wszelką wolę i odporność chociaż instynktownie usiłował się bronić rozpaczliwie przed tą wolą tajemniczą, którą mu narzucano i której ulegał nieświadomie.

— Mów! — nalegał coraz natarczywiej Lopez. — Oni tu byli ukryci? Oczekiwali? Broń mieli przygotowaną i kiedy nieszczęśliwy syn zamordowanej ofiary ukazał się na progu, biegnąc do oczekującego w gorączce ojca, oni, ci nędznicy, ugodzili go skrycie i bez litości?

— Tak.. ugodzili go...

— Zbrodniarz!

Szmer zgromy przeszedł po zebranych i wszystkie spojrzenia zwróciły się rozgorączkowane i śledzące ku grupie, którą tworzyli Frank, Fernanda, Paskal i Lopez.

— I ty byłeś przy tem? Byłeś świadkiem tego morderstwa? — zapytał ten ostatni.

— Towarzyszyłem synowi od chwili, kiedy wszedł do ogrodu willi.

— A poznałbyś mordercę, gdybyś go teraz ujrzał przed sobą?

Tak, poznałbym go.

— A więc patrz, jest tutaj!

Energicznym ruchem Lopez pochwycił ramię służącego i pociągnął go przemocą do miejsca, w którym znajdował się pan de Compans.

Bankier powstał i rozpaczliwym gestem ukrył twarz w rękach, ale Lopez brutalnie szarpnął go i ustawił naprzeciw Paskala.

Wstrętny uśmiech ukazał się na twarzy słuzącego, oczy jego zaświeciły żywym blaskiem.

— Czy poznajesz go? — zapytał Lopez.

— To on!

— Ja? — zawołał pan de Compans, cofając się o parę kroków. — Ja?

Ale już mężczyzna o bystrych, żywych oczach stał przy nim, nakazując mu milczenie.

— Więc wszyscy opuszczają mnie i zdradzają! — zawołał bankier rozpaczonym głosem. — Ach! To nikczemność! Ja nie pozwolę na takie traktowanie mnie! Czy nie znajduję się u siebie w własnym mieszkaniu! Chcę wiedzieć, jakim prawem...

— Panie de Compans — przerwał nieznanym głosem stanowczym i pewnym. — Słuszne jest, aby wszyscy, tu obecni, odkryli swoje nazwiska. Wypadek ten wydaje mi się zbyt ważnym, abyśmy go lekkomyślnie i po-bieżnie traktować mogli. Musimy więc działać otwarcie i bezwzględnie. Jestem Cerevurt, prokurator sądu karnego. Czy to panu wystarcza?

Poczem zwracając się do Lopeza, dodał:

— A pan kto jesteś? Jak pan widzi, sytuacja jest tego rodzaju, że sprawiedliwość ma prawo żądać absolutnej prawdy. Z urzędu więc mego proszę pana o wymienienie swojego nazwiska.

Lopez skłonił się głęboko.

— Jestem bratem zamordowanej ofiary, hrabiego de Rieux — wyrzekł, patrząc z siłunoną nienawiścią w stronę pana de Compans. — A doktor Frank jest jego synem!

(Ciąg dalszy nastąpi.)